

NORWAY

PÓŁdzienniki
Z EMIGRACJI

P i o t r M i k o ł a j c z a k



NY I NORGE*

Miało być łatwo. Po rozmowach z przyjaciółką mieszkającą na stałe w Oslo nastawiałem się na zwykłe: „Dzień dobry, szukam pracy. Mogę coś posprzątać?”, a potem już z górki – nauka języka, pęczniejące konto, bryka na kredyt, większe mieszkanie, własny dom w Asker, Sandvica lub Nesbru, stabilizacja i na końcu ten cały rodzinny interes, który najlepiej rozpocząć z konkretnymi w rękę. Teraz już wiem, że poszukiwanie pracy, jeśli masz szczęście i przylatujesz bez wsparcia, nieco ryzykując, z solidnymi oszczędnościami na początek, nie powinno zająć więcej niż dwa miesiące. Chyba że masz pecha lub naprawdę nic nie umiesz. Wtedy wracaj, bo norweski potwór zje cię, zanim

* Polski tytuł: *Nowicjusz w Norwegii*; publikacja wydawana przez norweski rząd, przeznaczona dla nowo przybyłych imigrantów, zawierająca najważniejsze informacje i porady dla osób pragnących się osiedlić w tym kraju lub podjąć w nim pracę.

się obejrzysz, przetrawi i skończysz gdzieś w kanałach razem ze sławnymi w Oslo szczurami, a w końcu spłyniesz do fiordu prosto na prom w kierunku Kilonii.

Gdyby ktoś zapytał, czego najbardziej się bałem przed wyjazdem, oczywiście oprócz braku pracy, odpowiedziałbym, że kosztów utrzymania, no i pogody – chłodu oraz śniegu. To jednak północny kraj.

Obawiałem się utraty zainwestowanych w wyjazd pieniędzy, byłem też przekonany, że brak mi wielu praktycznych umiejętności. Nie miałem złudzeń, że w Norwegii będę się zajmował pracą intelektualną. Byłem trochę jak Tomasz, bohater norweskiego serialu *Kampen for tilværelsen*, lingwista diachroniczny, który opuścił rodzinę w Polsce w poszukiwaniu ojca w Norwegii. A ja? Polonista, bibliotekarz, dziennikarz i muzyk amator po rozwodzie, z potwornym minusem na koncie i niewielkim arsenałem do walki o byt, mam się zmierzyć z doświadczonymi budowlańcami?

Owszem, znam angielski i podstawowy norweski, przez parę miesięcy byłem kelnerem, wkręciłem kilka gniazdek w domu, zmontowałem sporo mebli z Ikei, przez kilka dni budowałem stoiska targowe, a także malowałem mieszkanie, nie niszcząc za bardzo paneli podłogowych. Poza tym jednak przez większość zawodowego życia byłem przywiązany do samochodu lub wygodnego fotela i klawiatury komputerowej. Brakowało mi doświadczenia, by samodzielnie zrobić nawet nieduży remont mieszkania. Ale już po pierwszych kilku miesiącach okazało się, że nie taki diabeł straszny, a montowanie ścianek

gipsowo-kartonowych, mieszanie betonu i składanie mebli w luksusowych hotelach to praca nieprzekraczająca możliwości nawet zdeklarowanego humanisty.

Każdy z dostępem do internetu mniej więcej wie, jak funkcjonuje norweski system podatkowy, i zdaje sobie sprawę, że podejmując decyzję o emigracji do tego kraju, trzeba przygotować umysł i konto w banku na potężny szok. W zamian, po kilku miesiącach, pojęcie „ogólnoświatowy kryzys ekonomiczny” staje się czystą abstrakcją. Norwegii to po prostu nie dotyczy. Od ubiegłego stulecia, kiedy ubogi naród norweskich rolników i rybaków otrzymał od losu prezent w postaci złóż ropy i gazu, można było wyraźnie obserwować, jak szybko i łatwo przekroczyć granicę biedy i rozbić się o ścianę konsumpcyjnego obłędu. Gdy się ten kraj oswoi i on oswoi nas, może być niezwykle przyjemnym i spokojnym miejscem do życia, a ci, którzy zadali sobie trud nauczenia się języka, mogą tu odnaleźć raj na ziemi, gdzie po kilku miesiącach masz dobrą pracę, stać cię na wynajem przyzwoitego mieszkania, wakacje na wyspach. I wszystko, absolutnie wszystko jest tu kwestią priorytetów.

Na koniec pogoda... Wybierając się do Oslo, choćby na tydzień, nie ma pewności, na jaką trafimy pogodę. Dla turysty to zawsze jak loteria fantowa na odpuście – częściej wygrasz lizaka o smaku lukrecji niż sprzęt AGD, ale i tak warto zaryzykować, by zatopić się w tym dziwnym, pełnym kontrastów mieście. Jeśli jednak planujesz spędzić w Oslo rok lub dłużej, a boisz się „zimnej Północy”, nie myśl za długo, tylko pakuj walizkę, bo w Polsce zimy często bywały sroższe niż w stolicy Norwegii. Wiosna

jest tu deszczowa i niepewna, lato ciepłe i eksplodujące zielenią. Jesień złota jak polska, tylko bardziej i piękniej. Zima umiarkowana, bez szaleństw i dramatów, jeśli nie jesteś zrobiona lub zrobiony z kartonu. Można przeżyć, nawet gdy nie masz zbyt wiele.

*

Spoglądam za siebie, widzę zapakowany samochód. Wiedziałem, że gdy nacisnę pedał gazu, nastawię nawigację i włączę jakiś przebój drogi z lat dziewięćdziesiątych, nie będzie powrotu. Tysiąc trzysta cztery kilometry do celu, kanapki, pełen bak, w perspektywie prom plus noc na parkingu w szwedzkich lasach. Wyjeżdżałem z Polski z niezdiagnozowaną depresją – ciemnym filtrem, przez który od początku spoglądałem na emigrację, na ludzi wokół i samego siebie. Niosłem ze sobą uczucie towarzyszące człowiekowi uwięzionemu w skomplikowanej sytuacji, zakorzenionemu w jednym miejscu. Miejscu, które zna, kocha i równocześnie nienawidzi. Uczucie przykre, ale i oczyszczające. Bez złudzeń, z kiełkującą nadzieją.

Nie miałem pojęcia, co świeżaki, żółtodzioby emigracji i poszukiwacze norweskiego złota mieli w sercach, ale gdy wyruszyłem w drogę, czułem, że bezpowrotnie znikam z konkretnego czasu i miejsca. Że zostawiam za sobą nie tylko stare łóżko, kartony z książkami, kilka mebli i skrzynię pełną wspomnień. Ale przede wszystkim ludzi, których kocham, kochałem, wydawało mi się, że kocham, i całą mniej lub bardziej ważną resztę. Zawsze i we wszystkim najważniejsi są ludzie.

NO(r)WAY nie jest reportażem. Nie jest też pamiętnikiem z osobliwych, zarobkowych „wakacji” ani konglomeratem myśli. To, najogólniej mówiąc, osobiste spojrzenie na specyficzny fragment Norwegii, krótkie opowieści o polskich emigrantach, którzy z różnych względów zdecydowali się żyć i pracować w wyobrażonym raju. Często to raj widziany z piwnicznego okna, kabiny dźwigu zawieszanej czterdzieści metrów nad ziemią, dmuchanego materaca z tyłu kombiaka czy kolejki po darmowe jedzenie z Armii Zbawienia.

Wszystkie imiona zmieniono, sytuacje pomieszano, ale podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest niewykluczone.

Piotr Mikołajczak

Oslo – Reykjavik – Gorlice, 2014–2020

OSLO

SI-TEKST
K
Verisbenedic

FROM
WITH
PUNK

2012



Przystań na Huk, Bygdoy



59°53'40.1"N 10°40'39.7"E

Więcej zdjęć
z 2012 roku tutaj



NOC W ŚRODKU JEZIORA

Śni mi się, że mam coś do powiedzenia.

Kilka minut po trzeciej na łóżko wskakuje pies. Natychmiast zapominam sen o starym domu w mieście, którego nie znam. Morus, czarny labrador, zeskakuje, piszczy i zaczyna dreptać pod drzwiami. Zrujnowana kamienica, w której wynająłem mieszkanie, jest prawie pusta. Oprócz mnie, piętro niżej, mieszka tu tylko stare małżeństwo. Widzę czasem przez okno, jak niosą płócienną torbę z zielonym logo swojego miasteczka. Co tydzień taszcą kilogram lekarstw i wiem, że za kilka lat tych ludzi tam już nie będzie. Ja wyprowadzam się jutro. Znów na chwilę, znów niedaleko.

Łóżko jest mokre, jakbym nie wytarł się po długiej kąpieli w jeziorze i padł na prześcieradło. Ocieram pot z czoła, wstaję, wkładam długie spodnie, flanelową koszulę, wsuwam niedbale

trampki jak kapcie. I tak są do wyrzucenia. Pomimo lipca jest chłodno, więc biorę koc. Razem z czarnym psem człapiemy przez opuszczone mieszkanie znajdujące się obok wynajętej przeze mnie nory, z którego wiodą schody do ogrodu. Morus, prezent od byłej, od razu daje susa w mrok. Buszuje po zniszczonej szklarni, przegniłym domku letniskowym, wali kupę pomiędzy cierniami, słyszę, jak zahacza o nie w ciemności.

Nade mną, niezasłonięta chmurami, unosi się siatka utkana z tysięcy gwiazd, niewidocznych planet i potężnych galaktyk. Tyle możliwości, a ja nie wiem, co robić. Zapalam papierosa, zaciągam się głęboko. Wyjmuję telefon, dużo esemesów, powiadomień, lajków, słów pocieszenia. Parę dni temu zakończyłem kilkuletni etap bycia niewłaściwym mężem niewłaściwej żony. Potwierdziła się stara prawda, że studia i związki powinniśmy wybierać po trzydziestce.

Wchłania mnie ciepły szum nocnych owadów. Zapadam się w siebie, jest mi w gruncie rzeczy obojętne, co stanie się nie tylko za rok, ale i za sekundę. Jakbym wypłynął łódką na środek ogromnego jeziora, mając ze sobą jedynie worek kamieni. Nie dbam w tej chwili o życie i odrywam wielkie płaty tego, co głowie niepotrzebne. Każdą tęsknotę, żal, prośbę i czułość gniotę i wypuszczam z dymem papierosa. Muszę przetrwać, dlatego całą resztę, której nie da się wyrzygać, upycham najgłębiej, jak się da. Mam wrażenie, że krzyczę i ten krzyk jest jak ziarno piasku pośród innych ziaren. Usłyszałem kiedyś, że gdy człowiek utraci wszystko i zaczyna od zera, jest mu łatwiej niż z bagażem relacji i materii. To kłamstwo. By się podnieść, potrzeba chwili

szaleństwa. Trzeba wypłynąć na środek jeziora z workiem kamieni i zdecydować.

Robi się coraz chłodniej, cicho gwizdzą na psa. Morus wystawia łeb z krzaków, widzę jego czarne oczy odbijające światło księżyca. Nagle znika między drzewami. Czekam kilka minut, po czym zostawiam go w ciemności i wracam do łóżka. Próbuję zasnąć, ale nie potrafię. Pamiętam tylko jedno – śniło mi się, że miałem coś do powiedzenia.

BEZ SNÓW

Siedzę na krześle w pokoju. Ze ścian odchodzą tapety nasiąknięte brudnymi promieniami słońca, które od lat wpadały tu przez zakurzone szyby. W środku śmierdzi smażonym kurczakiem z Tesco, grzybem, gorącym popołudnia i sześcioma fajkami West Ice. Pies nie wytrzymał smrodu i wybiega z domu, ziejąc gorącym z pyska. Z papierosem w ustach robię pranie w niewielkiej wannie ozdobionej rdzawymi ścieżkami przy kranie. Jest tylko zimna woda, używam więc dwóch największych garnków, napelniam je po brzegi i po odpaleniu prymusa rodem z nadbałtyckich domków letniskowych zaczynam gotować. Chcę prać chociaż w trzydziestu stopniach. Tak samo robię, gdy muszę się umyć.

Ciągle liczę. Długi rosły przez ostatnie lata. Nawet piorąc te cholerne ciuchy w letniej wodzie, myślę wyłącznie o tym. Ile. Komu. I kiedy to gówno się skończy. Jeżeli dobrze pójdzie,

to w tym kraju, pracując jako humanista, spłacę wszystko za trzydzieści, czterdzieści lat, wykładając po tysiąc złotych miesięcznie. Ale jest lipiec 2012, według Majów świat ma nie dożyć grudniowych świąt. Niemal dekadę wcześniej siedziałem w kinie z piękną i mądrą dziewczyną, którą kochałem. Oglądaliśmy koreański film o zemście, którego bohater Oh Dae-Su budzi się pewnego dnia zamknięty w jednym pomieszczeniu i pozostaje w nim przez piętnaście lat, nie znając przyczyny swego uwięzienia. Mówił: „Zaśmiej się, a cały świat będzie śmiał się z tobą, zapłacz, a będziesz płakał w samotności”. To samo dotyczy pieniędzy. Jak masz ich dużo, cały świat jest z tobą, dopinguje, gdy otwierasz portfel. Jak musisz oddać, jesteś sam.

Na wyjazd zdecydowałem się pod koniec lipca w środku kaszubskich lasów, gdzie dopadła mnie depresja. Będzie mi towarzyszył Adam – jedzie, by przeżyć przygodę, odkryć siebie i znaleźć własną drogę. Jego auto posłuży nam za wehikuł do stabilizacji. Kierunek Norwegia – tam najwięcej zarabiają, tam za każdym zakrętem rozpościerają się piękne widoki, tam jest zorza i najważniejsze – tam nie ma kryzysu. No i jest black metal.

Od tygodnia kupuję potrzebne rzeczy, a niepotrzebne sprzedaję, wykonuję setki telefonów, mam za sobą trzy imprezy pozegnalne, dwa pokazy filmów skandynawskich w ogrodzie u Adama, a dziś wielkie pakowanie i chaos. Dwudziesty ósmy września jest przyjemnie gorący, zapamiętam ten dzień. Właśnie ucinam łeb hydrze, a on nie odrasta, bo hydra wie, że w Norwegii czeka inny smok, którego nie da się zabić. Tam nigdy nie będę u siebie.

Pakujemy auto przez kilka godzin, bawiąc się w rozbudowaną wersję Tetrisa. W bagażniku upychamy kolanem rzeczy z trzech miejsc, gdzie pomieszkowałem, po które z wywalonym jęzorem jeździłem to tu, to tam. Wszystko może się przydać. Wyjeżdżając na tak długi czas po raz pierwszy, zwyczajnie nie wiem, co zabrać. Ładuję walizki na oślep. Będę musiał tam normalnie funkcjonować, a nie wegetować, trując się pozorem życia. Puzzle, z których do tej pory składała się moja egzystencja, trzeba będzie tam złożyć w możliwie podobny obrazek. Pomi-jając te, które przez przypadek zalałem wodą, spermą i rozmytym charakterem.

Noc przed wyjazdem jest czasem pożegnań, ciszy i wewnętrznego piekła. Wiem, że kupuję paliwo w jedną stronę. Nie śnię o niczym, po prostu zamykam oczy, otwieram je i chyba przez chwilę jestem szczęśliwy. Mózg oszczędza mi koszmarów, choć w głębi serca liczę na to, że podświadomość podpowie, co robić, by nie popaść w rozpacz. Poranek jest cichy.

Leżąc jeszcze w łóżku, wspominam, jak rok wcześniej siedzieliśmy z ojcem w poczekalni u egzorcysty, księdza Mariana. Facet podobno znany i szanowany w środowisku, bo umie szybko rozpoznać, czy ktoś został duchowo szturchnięty przez siły nieczyste. A my próbujemy szukać jakiegokolwiek powodu, znaleźć przyczynę, dlaczego idzie tak bardzo źle. Wiedzieliśmy o kłątwie rzuconej na dziadka w ubiegłym stuleciu przez jakąś kobietę, która krzyczała, że do trzeciego pokolenia będzie smród, brud i pozo-ga. A gdy człowiek nie ma nadziei i forszy, to uwierzy w każdą bzdurę. Chcę to wytłumaczyć jakoś inaczej niż ociotowaniem.

Patrzemy więc na siebie z księdzem w niewielkim pokoiku, niedaleko rynku w Poznaniu. W środku zapach książek, starego biurka i kurzu. Mówimy, że firma budowlana, którą w dużej mierze prowadził ojciec, trochę nie z jego winy przynosi ostatnio same straty. Staramy się, ale dług w pewnym momencie, po wielu wątpliwych decyzjach i trzymaniu kilku srok za ogon w dwóch różnych państwach, urósł do niemal ćwierć miliona złotych. Firma jest na mnie, więc start w przyszłość raczej mizerny. Nawet największy idiota wyliczy, że polonista spłaci to z dwóch etatów za mniej więcej trzydzieści lat.

– Rekordzistami nie jesteście, ale i tak sporo jak na cztery lata prowadzenia niewielkiej działalności – mówi ksiądz. – Sześćdziesiąt tysięcy rocznie.

Tłumaczymy szybko, o co biega. Opowiadamy o nieuczciwych kontrahentach, pechu, kryzysie z 2008, setkach godzin, które nasi pracownicy przegrali w karty, zamiast pracować. Brniemy coraz bardziej w przeszłość. W końcu dochodzimy do denominacji, mijając po drodze ogólnoświatowy strach o XXI wiek w milenijnego sylwestra. Na koniec wspominamy o kłątwie. Przecież wszystko musi mieć jakąś przyczynę. Chyba nawet trochę liczyłem na to, że po tej wizycie rzeczywistość wróci na właściwe tory, a boskie światło zawróci nas do życia pełnego tłustych przelewów, harmonii z ZUS-em i podatkowego spokoju.

Ksiądz Marian poprosił o rozmowę na osobności. Ojciec poszedł na pierwszy ogień. Trochę się bałem, że zaraz wyleci z biura z płonąłą głową, zmienioną twarzą albo skrzeczając jak Gylve w *Transylvanian Hunger*. Nie miałbym nic przeciwko, żeby

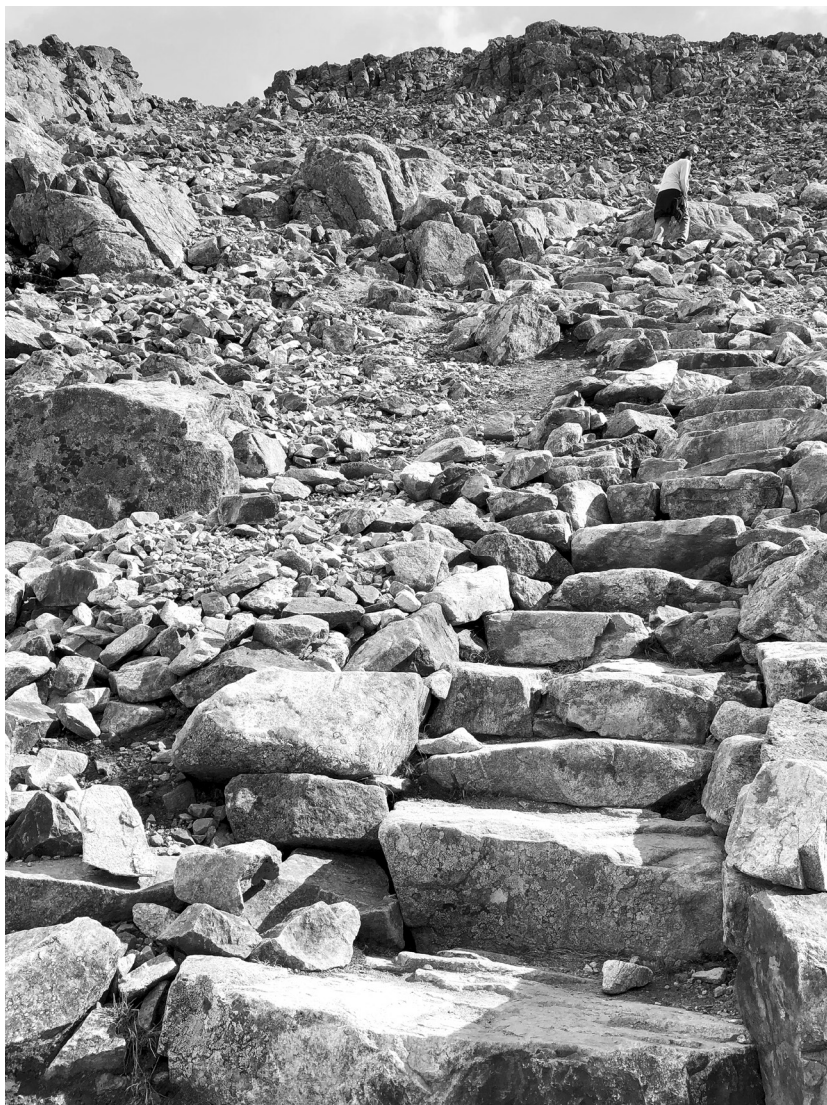
mój stary śpiewał w Darkthronie, ale nic takiego niestety się nie stało i wynudziłem się jak lis w klatce.

Gdy już policzyłem każdą muchę krążącą w poczekalni, ksiądz zaprosił do biura tylko mnie, prosząc, by ojciec wyszedł. Był dość wysokim, dystyngowanym mężczyzną. Miał spokojny głos mądrego człowieka, łysy placek na głowie i trochę zbyt krótkie spodnie.

– Widzi pan, modliłem się za pańskiego ojca, za pana. W ogóle jesteście miłymi ludźmi. Porozmawialiśmy trochę o tym i owym, o Ukrainie, nieudanej inwestycji, o dziesiątkach spraw, które być może powinny być omawiane w innym gabinecie, ale ja tu żadnego działania demona, klątwy, sił nieczystych nie widzę.

Zaraz, czekałem przed wejściem do tego biura jak pacjent na wyniki markerów nowotworowych, żeby usłyszeć to, co już wiem? Jakie to polskie, pomyślałem. Zamiast do psychiatry łązimy do faceta w sukience, by powiedział nam oczywistości ubrane w niebiański kamuflaż. Po chwili ksiądz Marian wypowiedział jednak zdanie, po którym stwierdziłem, że to wszystko miało sens. Że w sumie oczywistości są po to, by nas szybko sprowadzić na ziemię.

– Wie pan, pański tata to jest po prostu dupa w interesach.



Szlak górski Presholtstien

WNĘTRZE RYBY

Koniec września, nadal ciepło. Błękit na niebie miesza się z odcieniami szarości, jesiennie przyjemny wiatr sprawia, że jest rześko i sucho. Powietrze na razie nieskażone wyziewami porannych korków. Czyste i przejrzyste. Poznań wygląda na dopiero obudzony, jakby jeszcze nie wstał z łóżka. Za mną kilka intensywnych dni, wypełnianie ostatnich zobowiązań, zamykanie niedomkniętych spraw, a teraz ten świeży i nierealny świt, gdy już wszystko jest jasne. Wiadomo, że to ostatni dzień tutaj nie tylko w tym roku, ale w tym życiu. Ostatnie spojrzenie na miasto, na bliskie osoby, na siebie zakotwiczonego w przestrzeni i czasie. To zabawne, ale jedno z pierwszych słów, jakich nauczyłem się po norwesku, brzmiały „på gjensyn” (do widzenia). Po roku używania tego zwrotu w sklepach, restauracjach i w pracy ktoś mnie wkręcił, że podobno lata temu marynarze wołali tak do swoich bliskich, gdy wypływali na długie miesiące

z domu. Wiedzieli, że być może nigdy nie wrócą, więc w tych dwóch słowach zawarta była tęsknota, pożegnanie i czas. Choć to nieprawda, lubiłem myśleć, że tak właśnie było.

Wsiadamy do renówki, rocznik dziewięć siedem, świeżo po remoncie. Auto z oponami zimowymi, zapasem żarówek, cewkami, nowym rozrzędem, wymienionym olejem i regulacją hamowania. Dziwne, jak człowiek potrzebuje personifikować różne rzeczy, gdy w swoim mniemaniu mierzy się z czymś ważnym. Mówimy czule nie tylko o zwierzętach, ale i o domu, nadajemy imiona instrumentom, artykułom gospodarstwa domowego i oczywiście samochodom. Nasz ochrzciliśmy Renata. Pakujemy do niej tyle gratów, że dziwimy się w końcu, ile można upchnąć w aucie osobowym. Wyglądamy jak nomadzi wiozący cały dobytek. Nie mamy co prawda kur, kołder i foteli, ale za to są gitary, cała tylna szyba zawałona workami z makaronem i ryżem, za plecami słoiki, komputery, ciuchy, koce, lampy, wieża i stos innego ustrojstwa.

Na początku tradycyjne tankowanie do pełna. Przed wyjazdem kupiliśmy adapter kasetowy i po podłączeniu telefonu mieliśmy w uszach ulubione kawałki. Trójka zanikała, więc Renata mknęła przez Polskę przy muzyce Fleet Foxes, Bon Iver i Mumford and Sons. Polska jesień żegna nas na złoto, z domieszką podniebnego indygo i kilku karmazynowych plam rozsianych po lasach. Liście obsypują nas hojnie na każdym przystanku. Ostatnia jesień w kraju.

Dojeżdżamy do granic Dojczlandu. Droga coraz lepsza, słońce coraz wyżej. Ostatnia stacja na granicy to Orlen, gdzie znów tankujemy do pełna. Spalanie dobre, sześć i pół litra na

setkę. Liczymy wszystko, kalkulujemy. Mamy też świetne spalanie w innej materii. Mieliśmy rzucić fajki przed wyjazdem, ale kupiliśmy ostatnią paczkę lucky strike'ów i mocne postanowienie upadło. Ciągniemy od tego czasu papierosa na godzinę, ale z auta nie wysiadamy, więc między butami popiół, wszędzie szare plamy. Na granicy kantory, budki z żarciem, krasnale, ogólny piknik. Tylko jeden radiowóz po drodze. Wjeżdżamy do kraju wurstu, gurkentopf i kartoffelsalat. Krajobraz mutuje, czyści się z niepotrzebnych rzeczy, odrapanych budynków, rozczochranego kolorytu i billboardów z uśmiechniętym celebrytą przy drodze.

Po godzinie jazdy autostradą pogoda zaczyna gnić. W oddali mającą popękane chmury, widać siekający odległe pola deszcz, który wkrótce i nas dopada. Monotonia krajobrazu w szarościach o odcieniu mokrej myszy, w czerwonych rozjaśnieniach. Wypieszczona czernią tysięcy ptaków, które obsiadły pola jak robactwo. Tak paskudnie się boję. W uszach Boards of Canada *Everything you do is a balloon*.

W Sassnitz mamy prom za piętnaście szóstą. Im bliżej do niego, tym dziwniejsze uczucie nas dopada, tym większe czujemy podniecenie, że opuszczamy tę część Europy przez Bałtyk. Bywaliśmy już dalej od domu i nie jest to podniecenie wynikające z tego, że w ogóle gdzieś jedziemy. Chodzi o coś innego. Czujemy się niczym absurdalny polski Kolumb, który udaje się na przygodę życia, wychodzi z auta, wsiada na statek, płynie do pięknej, zamorskiej krainy ze starych opowieści, by stamtąd skierować kroki do surowego, zimnego kraju wikingów.

Uczucie trwa kilka chwil, po czym ginie we mgle, która pojawia się wraz z naszym wjazdem do Sassnitz.

Przed podróżą zarezerwowaliśmy prom do Trelleborga. Dwie osoby, jedno auto, tona bagażu, w tym dziesiątki kilogramów niepotrzebnych emigrantowi rzeczy. Wjeżdżamy przez bramkę na teren portu i ustawiamy samochód w kolejce numer siedem, w której stoją Polacy, Rumuni, Niemcy i Szwedzi. Przede wszystkim Szwedzi. Kilka kombiaków volvo, przez których szyby widać kartony z puszkami, rakiety fajek, wysoko-procentowe alkohole poupychane między siedzeniami. Ludzie mają szczęśliwe miny. Robi nam się przykro, bo nie zabraliśmy ze sobą choćby flaszki. Nawet nie wiemy dla czego. Siedzimy w aucie i spoglądamy na spływający po szybie deszcz, nucimy coś pod nosem, snujemy niewiarygodne plany i pijemy herbatę ze stylowego, niebieskiego termosu w kwiaty.

Po niecałej godzinie kolejka rusza. Wjeżdżamy na most – majestatyczny moloch z betonu. Ma w sobie jakieś piękno i tajemnicę, ale bardziej zachwycają nas teraz dźwięki dochodzące z promu. Jakby ogromny potwór morski, w którego trzewia zmierzaliśmy, dostał rozstroju żołądka. Industrialno-makrobiologiczne, geigerowskie melodie. Wreszcie znikamy w środku jak Jonasz we wnętrzu wieloryba. Zaleciało ławicą, która przeleżała martwa w porcie o pół roku za długo. Udajemy się po schodach do poczekalni, gdzie już siedzi grupka uchachanych Szwedów, konsumując część zimowych zapasów, kilkunastu Polaków i garstka Tajek. Obsługa jest niemiecka, więc panuje względny porządek. Oficjalnie pierwszą część trasy mamy za sobą.